

Sidła wojny

19 kwietnia 2011

Nawet zepsuty zegar dwa razy dziennie pokazuje dobrą godzinę. To, że Stany Zjednoczone, Francja i Wielka Brytania przedłożyły w Radzie Bezpieczeństwa rezolucję upoważniającą do użycia wobec reżimu libijskiego siły nie wystarczy, aby automatycznie ją odrzucić. Stawiający czoło reżimowi terroru, lecz bezbronny czy kiepsko uzbrojony ruch ludowy czasami musi zwrócić się do policji międzynarodowej, choć cieszy się ona fatalną reputacją. Skupiony na swoim własnym nieszczęściu, nie odrzuci jej pomocy tylko dlatego, że gardzi ona apelami o pomoc ze strony innych ofiar, a już zwłaszcza palestyńskich i bahrajńskich. W takiej chwili może nawet zapomnieć, że to siła represyjna, a nie towarzystwo pomocy wzajemnej.

Pobudki, którymi – całkiem logicznie – kierowali się powstańcy libijscy, nie świadczą jednak o prawowitości tej kolejnej wojny rozpętanej przez mocarstwa zachodnie na ziemi arabskiej. Interwencja państw członkowskich NATO to niedopuszczalny sposób dochodzenia do pożądanego celu – obalenia reżimu Muammara Kaddafiego. Jeśli sposób ten niektórym wydaje się oczywisty – wszystkim każe się „wybierać” między zachodnimi bombardowaniami a zgnieceniem powstańców libijskich – to tylko dlatego, że odrzucono inne sposoby – choćby interwencję u ich boku wojsk Narodów Zjednoczonych lub wojsk egipskich czy panarabskich.

Tymczasem bilans dotychczasowych eskapad wojennych Zachodu nie pozwala uznać za wiarygodne szlachetnych motywów, na które powołują się organizatorzy zachodniej interwencji wojskowej w Libii. Któż zresztą uwierzy, że jakiegokolwiek państwa poświęcają swoje zasoby na realizację celów demokratycznych i angażują w to swoje armie? Dzieje współczesne każą nam pamiętać, że o ile rzekomo rozpętywane w takich celach wojny odnoszą równie piorunujące co nagłaśniane przez media sukcesy, o tyle o tym, co później się dzieje, już nie słychać. W

Somalii, Afganistanie, Iraku walki nie ustały i nadal giną tam ludzie, choć Mogadiszu, Kabul, Bagdad „padły” wiele lat temu.

Powstańcy libijscy sami chcieliby obalić władzę despotyczną – podobnie jak uczynili to ich tunezyjscy i egipscy sąsiedzi. Francusko-angloamerykańska interwencja wojskowa grozi, że zostaną wasalami mocarstw, których wolność narodu libijskiego nigdy nic nie obchodziła. Odpowiedzialność za tę wyjątkową w regionie sytuację spada jednak w pierwszej kolejności na Kaddafiego. Gdyby nie furia represyjna jego reżimu, który w ciągu z górą 40 lat przeszedł od antyimperialistycznej dyktatury do prozachodniego despotyzmu, gdyby nie filipiki, w których wszystkich swoich przeciwników nazywał „agentami Al-Kaidy” i „szczurami wysługującymi się za pieniądze zagranicznym wywiadem”, losy powstania zależałyby jedynie od narodu libijskiego.

Być może rezolucja nr 1973 Rady Bezpieczeństwa zezwalająca na bombardowanie Libii zapobiegnie zdławieniu rewolty, którą ubóstwo środków wojskowych prawdopodobnie skazywało na porażkę. Mimo to przypomina ona bał obłudników. Wojsk Kaddafiego nie zbombardowano dlatego, że to najgorszy lub najbardziej morderczy spośród dyktatorów, lecz dlatego, że jest słabszy niż inni, ponieważ ani nie dysponuje bronią jądrową, ani nie posiada potężnych przyjaciół, którzy mogliby ochronić go przed atakiem czy bronić na forum międzynarodowym. Wymierzona w niego interwencja potwierdza, że prawo międzynarodowe nie określa żadnych jasnych zasad, których pogwałcenie wszędzie pociągałoby za sobą karę.

Pranie brudnej bielizny dyplomatycznej wygląda tak samo, jak pranie brudnych pieniędzy: jedna minuta cnotliwości pozwala zatrzeć długie dziesięciolecia bezeczeństw. Tak oto francuski prezydent każe bombardować swojego byłego partnera w interesach, którego gościł w 2007 r., choć wówczas wszyscy znali naturę jego reżimu – chyba powinniśmy być wręcz pełni uznania dla Nicolasa Sarkozy’ego, ponieważ nie zaproponował Kaddafiemu „fachowej wiedzy naszych sił bezpieczeństwa”, którą

w styczniu br. zaoferował tunezyjskiemu prezydentowi Zinowi al-Abidinowi Ben Alemu... Jeśli chodzi o Silvio Berlusconiego, „najbliższego przyjaciela” przywódcy libijskiego, którego 11 razy gościł w Rzymie, to teraz ciągnie się on w ogonie cnotliwej koalicji.

Większość autokratów i monarchów kontestowanych przez demokratyczny zryw świata arabskiego zasiada w Lidze Arabskiej, ta zaś najpierw poparła rezolucję Rady Bezpieczeństwa, a następnie, gdy odpalono pierwsze rakiety amerykańskie, udawała konsternację. Rosja i Chiny mogły przeciwstawić się tej rezolucji, gdyż w radzie tej dysponują prawem weta, lub wprowadzić do niej takie poprawki, które ograniczyłyby rozmach czy ryzyko eskalacji. Gdyby tak postąpiły, nie musiałyby następnie „wyrażać żalu” z powodu użycia siły. Wreszcie, aby w całej rozciągłości uświadomić sobie prawość „społeczności międzynarodowej”, przypomnijmy, że w rezolucji Rady Bezpieczeństwa zarzucono Libii „samowolne zatrzymania, wymuszone zniknięcia, tortury i doraźne egzekucje” – jak wiadomo, nic takiego nie dzieje się ani w amerykańskiej bazie wojskowej w Guantánamo, ani w Czeczenii, ani w Chinach...

„Ochrona cywilów” to nie tylko niepodważalny wymóg. W toku konfliktu zbrojnego to również bombardowanie celów wojskowych, to znaczy żołnierzy, których często zmuszono do noszenia munduru i karabinu i którzy na ogół wymieszani są z nieuzbrojoną ludnością. Z kolei kontrola „strefy zakazu lotów” oznacza, że patrolujące ją samoloty mogą zostać zestrzelone, a ich piloci – dostać się do niewoli, toteż gdy tak się stanie, pozwoli to uzasadnić użycie na lądzie komandosów, którzy będą mieli ich uwolnić [1]. Słownictwo można polerować do woli, ale wojny nie sposób eufemizować w nieskończoność.

Ta zaś, w ostatniej instancji, należy do tych, którzy decydują o jej wznieceniu i ją toczą, a nie do tych, którzy ją zalecają czy do niej upoważniają marząc, że będzie krótka i radosna. Przy biurku można sobie robić nieskazitelne plany wojny, którą

toczyć się będzie bez nienawiści ani na której nie dojdzie do „wybryków”, ale siła wojskowa, której powierza się zadanie wykonania takich planów, robi to zgodnie ze swoimi skłonnościami, metodami i wymogami. Krótko mówiąc, skutkiem rezolucji nr 1973 Rady Bezpieczeństwa są zarówno rozradowane tłumy w Bengazi, jak i trupy żołnierzy libijskich zabitych przez lotnictwo zachodnie podczas odwrotu spod tego miasta.

Siły postępowe na całym świecie podzieliły się w związku z kwestią libijską w zależności od tego, czy kładły nacisk na solidarność z uciskany przez reżim narodem, czy na sprzeciw wobec zachodniej wojny. Oba kryteria oceny są uprawnione, ale nie zawsze można domagać się ich jednoczesnego spełnienia. Gdy trzeba wybrać, pozostaje określić, co miano „antyimperialisty”, którą uzyskało się na arenie międzynarodowej, pozwala czynić codziennie z własnym narodem na scenie wewnętrznej.

W przypadku Kaddafiego milczenie licznych lewicowych rządów latynoamerykańskich (Wenezueli, Kuby, Nikaragui, Boliwii) o represjach, które on zarządził, tym bardziej zdumiewa, że opozycja libijskiego przywódcy wobec „Zachodu” to zwykła fasada. Kaddafi potępia „spisek kolonialny”, którego rzekomo padł ofiarą, ale wcześniej zapewniał dawne mocarstwa kolonialne: „toczymy tę samą walkę z terroryzmem. Nasze wywiady współpracują ze sobą. W ostatnich latach bardzo wam pomogliśmy.” [2]

Libijski dyktator twierdzi – a wtórują mu Hugo Chávez, Daniel Ortega i Fidel Castro – że atak, którego padł ofiarą, jest spowodowany pragnieniem uzyskania „kontroli nad libijską ropą naftową”. Tymczasem ropę tę eksploatują już kompania amerykańska Occidental, brytyjska BP i włoska ENI. Kilka tygodni temu Międzynarodowy Fundusz Walutowy chwalił Libię za „bardzo dobre wyniki makroekonomiczne i postępy w umacnianiu sektora prywatnego” [3]. Ben Ali, przyjaciel Kaddafiego, otrzymał podobną pochwałę w listopadzie 2008 r., i to osobiście od dyrektora generalnego MFW, francuskiego

socjalisty Dominique'a Strauss-Kahna, który przyjechał do Tunisu prosto z... Trypolisu [4].

Stara patyna rewolucyjna i antyimperialistyczna Kaddafiego, przywrócona mu teraz w Caracas i Hawanie, umknęła również uwadze Anthony Giddensa, teoretyka „trzeciej drogi” blairowskiej. W 2007 r. zapowiedział on, że wkrótce Libia stanie się „Norwegią Afryki Północnej: prosperującą, egalitarną i zwróconą ku przyszłości” [5]. Doprawdy, czyż można uwierzyć, że przywódca libijski to taki szaleniec, jakiego teraz z niego się robi, gdy przegląda się tę bardzo eklektyczną listę jego chwalców?

Lewicowe rządy latynoamerykańskie pomyliły się co do niego z kilku powodów. Po pierwsze, chciały widzieć w nim wroga swojego wroga (Stanów Zjednoczonych), ale nawet gdyby był nim rzeczywiście, nie powinno to być wystarczającym powodem, aby robić zeń swojego przyjaciela. Chávez mówi, że informował się o sytuacji w Tunezji dzwoniąc do Kaddafiego... Kiepska znajomość Afryki Północnej skłoniła następnie prezydenta Wenezueli do przeciwstawienia się „kolosalnej kampanii kłamstw instrumentalizowanych przez media” (to słowa Castro). Tym bardziej, że budziła w nim osobiste wspomnienia, choć takie skojarzenie w tym przypadku było co najmniej dyskusyjne. „Nie wiem, dlaczego to, co tam się dzieje i się działo”, oświadczył prezydent Wenezueli w związku z sytuacją w Libii, „przypomina mi Hugo Chaveza w dniu 11 kwietnia.” Tegoż dnia 2002 r., przy wsparciu mediów manipulujących informacjami, w Wenezueli usiłowano dokonać zamachu stanu i obalić demokratycznie wybranego Chaveza.

Do błędów w ocenie sytuacji w Libii skłania również wiele innych czynników: punkt widzenia ukształtowany przez dziesięciolecia interwencji wojskowych i panowania Stanów Zjednoczonych przy użyciu przemocy w Ameryce Łacińskiej, pomoc okazana Wenezueli przez Libię w rozwoju stosunków z krajami afrykańskimi, rola obu państw w Organizacji Krajów Eksportujących Ropę Naftową (OPEC) i na wspólnych

Konferencjach na Szczycie Ameryki Południowej i Afryki, zabiegi geopolityczne władz w Caracas zmierzające do zrównoważenia dyplomacji wenezuelskiej poprzez zacieśnienie stosunków Południe – Południe.

Poza tym prezydent Chávez mniema, że stosunki międzypaństwowe jego kraju pociągają za sobą osobiste przyjaźnie z szefami innych państw. Mawia on: „Byłem przyjacielem króla Arabii Saudyjskiej Fahda, jestem przyjacielem króla Abdullaha, który był tu, w Caracas, na pewnej konferencji na szczycie, i widzieliśmy się przy kilku okazjach. Żywimy wobec siebie dużo uczuć. Przyjacielem emira Kataru, prezydenta Syrii, przyjaciela, który też tu przyjechał. Przyjacielem Butefliki.” [6] Kiedy reżim Kaddafiego („mojego tak starego przyjaciela”) rozpętał represje wobec swojego narodu, przyjaźń ta negatywnie zaciążyła na postawie Chaveza. Krótko mówiąc, stracił okazję zaprezentowania rewolt ludowych w Afryce Północnej jako młodszych sióstr lewicowych ruchów latynoamerykańskich.

Po wykorzystaniu, nie bez powodzenia, postępowego argumentu obrony zasobów naturalnych, przywódca libijski niedługo opierał się pokusie sięgnięcia po ostatni atut w postaci starcia między religiami. „Wielkie mocarstwa chrześcijańskie”, wyjaśnił 20 marca, „podjęły drugą wojnę krzyżową z narodami muzułmańskimi, z narodem libijskim na czele, której celem jest wymazanie islamu [z mapy świata].” Trzydzieści dni wcześniej Kaddafi porównał jednak swoją robotę represyjną z robotą represyjną... rządu w Tel Awiwie wymierzoną w Palestyńczyków. „Nawet Izraelczycy w Gazie musieli użyć czołgów do walki z takimi ekstremistami. My też. (...) Oddziały armii libijskiej musiały stoczyć walki z małymi grupami Al-Kaidy.” [7] Oto jak Kaddafi zabiegał o swoją popularność w świecie arabskim.

Najnowszy poślizg Kaddafiego ma przynajmniej jedną zaletę. Przypomina o szkodliwości politycznej dyskursu, który odtwarza na odwrót neokonserwatywny wątek wypraw krzyżowych i imperiów. W powstaniach arabskich uczestniczyli wierzący i niewierzący, którzy mieli za przeciwników wierzących i niewierzących, toteż

może się okazać, że zdezwuował się już dyskurs, który mógł sprawiać wrażenie antyimperialistycznego, choć faktycznie był antyzachodni. W swojej odrzynie do „Zachodu” mieszał to, co w nim najgorsze – politykę kanonierek, pogardę dla ludów „tubylczych”, wojny religijne – z tym, co w nim najlepsze, od filozofii Oświecenia po bezpieczeństwo socjalne powojennego trzydziestolecia.

Zaledwie 2 lata po rewolucji irańskiej 1979 r. radykalny myśliciel syryjski Sadik Dżalał al-Azm wyszczególnił cechy charakterystyczne „orientalizmu na odwrót”, który odrzucając drogi wytyczone zarówno przez świecki nacjonalizm, jak i przez rewolucyjny komunizm, wzywał do walki z „Zachodem” poprzez nawrót do autentyczności religijnej. Przypominając tu, w ślad za Gilbertem Achcarem, główne postulaty tego orientalizmu na odwrót, zrozumiemy, dlaczego zachwiała nimi fala uderzeniowa rewolucji tunezyjskiej. Głosi on mianowicie, „że stopnia emancypacji Wschodu nie należy i nie można mierzyć miarą wartości i kryteriów zachodnich, takich jak demokracja, świeckość i wyzwolenie kobiet, że Wschodu muzułmańskiego nie można pojąć przy użyciu narzędzi epistemologicznych nauk zachodnich, że niestosowana jest wszelka analogia ze zjawiskami zachodnimi, że tym, co porusza masy muzułmańskie, jest czynnik kulturowy, to znaczy religijny, a jego waga przewyższa wagę czynników społeczno-ekonomicznych warunkujących zachodnie dynamiki polityczne, że jedyna droga odrodzenia krajów muzułmańskich prowadzi przez islam, a wreszcie, że ruchy wymachujące sztandarem nawrotu do islamu nie są reakcyjne czy wsteczne, wbrew temu, jak postrzega się je na Zachodzie, lecz przeciwnie – postępowe, ponieważ stawiają opór zachodniemu panowaniu kulturowemu.” [8]

Może rzecznicy takiej fundamentalistycznej wizji polityki nie powiedzieli jeszcze swojego ostatniego słowa, ale już widać, że narody arabskie podkopały ją nie chcąc być dłużej „ani przeciwko Zachodowi, ani na jego służbie” [9], o czym świadczy fakt, że raz powstają przeciwko sojusznikom Stanów

Zjednoczonych (Egipt), a innym razem przeciwko adwersarzom tego mocarstwa (Syria). Nie tylko nie obawiają się, że za obroną swobód indywidualnych, wolnością sumienia, demokracją polityczną, wolnymi związkami zawodowymi, feminizmem kryją się „zachodnie” interesy przeфарbowane na emancypacyjny uniwersalizm, lecz czynią z nich oręż w walce z reżimami autorytarnymi i policyjnymi oraz z niesprawiedliwościami społecznymi. To wszystko, co przypomina inne wielkie zrywy rewolucyjne i co pozwala codziennie wyrywać kolejne zdobycze społeczne i demokratyczne, a od czego gdzie indziej odwykło wiele społeczeństw, czynią one z zapałem, właśnie wtedy, gdy „Zachód” wydaje się rozdarty między lękiem przed swoim zmierzchem a znużeniem w obliczu ogarniętego martwicą systemu politycznemu, w którym wymiany ekip rządzących w wyniku kolejnych wyborów polegają na zastępowaniu identycznego przez podobne i podobnego przez identyczne, zawsze w służbie tych samych.

Nic nie wskazuje, że ten zapał i ta odwaga narodów arabskich łatwo będą torować sobie drogę. Odkrywają jednak przed nami niezbadane możliwości. Oto na przykład w art. 20 rezolucji nr 1973 Rady Bezpieczeństwa uchwalono, że gdy tylko okaże się to możliwe, aktywa libijskie zamrożone na podstawie wcześniejszej rezolucji należy oddać do dyspozycji narodu Libii, tak, aby mógł uczynić z nich korzystny dla siebie użytek. A zatem okazuje się, że można zamrozić aktywa finansowe i przekazać je społeczeństwu! Możemy się założyć, że także społeczeństwa zachodnie zapamiętają tę lekcję i wyciągną prosty wniosek, iż państwa są w stanie zaspokajać potrzeby społeczeństw. Od kilku miesięcy narody arabskie udzielają światu również innej, nie mniej uniwersalnej lekcji: okazuje się bowiem, że społeczeństwa mogą wymusić na państwach to, co im się należy.

Autor: Serge Halimi

Tłumaczenie: Zbigniew M. Kowalewski

Źródło: [Le Monde diplomatique](#)

PRZYPISY

- [1] Patrz Ph. Leymarie, „Libye, les enjeux d’une zone d’exclusions aérienne”, Défense en ligne, blog.mondediplo.net/
- [2] Wywiad udzielony Journal du Dimanche, 6 marca 2011 r.
- [3] „Le FMI tresse des lauriers à Kadhafi”, Le Canard Enchaîné, 9 marca 2011 r.
- [4] „Strauss-Kahn – ou le génie du FMI – soutient Ben Ali!”, www.dailymotion.com
- [5] A. Giddens, „My Chat with the Colonel”, The Guardian, 9 marca 2007 r.
- [6] „Chávez: ‘Nos oponemos rotundamente a las pretensiones intervencionistas en Libia’”, 25 lutego 2011 r., www.aporrea.org
- [7] „Interview de Kadhafi 07/03/2011 pour france24 part 2/2”, www.dailymotion.com
- [8] G. Achcar, „L’orientalisme à rebours: de certaines tendances de l’orientalisme français après 1979”, Mouvements nr 54, 2008.
- [9] Patrz A. Gresh, „Jakie zmiany geopolityczne przyniesie przebudzenie Arabów”, Le Monde diplomatique – Edycja polska, marzec 2011 r. W przemówieniu wygłoszonym 19 marca br. Hassan Nasrallah, sekretarz generalny libańskiego Hezbollahu, stwierdził, że „wszelkie obwinianie Ameryki, iż fabrykuje, kieruje, prowokuje czy lansuje te rewolucje [arabskie], jest niesprawiedliwe dla tych narodów i błędne”.